

M. P.
B. P.
Kodki

W numerze: JAN HUSZCZA, MAGDALENA SAMOZWANIEC,
ARTUR MARIA SWINARSKI...

Cena numeru 15 zł.

6 ROZGI BIJĄCO TYDZIEŃ

Rok II

1 czerwca 1947 r.

Nr. 23 (43)

DO „ROZGRYZIENIA” KRYZYSU RZĄDOWEGO WE WŁOSZECH PREZ. NICOLA POWOŁAŁ
75-LETNIEGO F. NITTI I 88-LETNIEGO W. ORLANDO



Rys REGINA KAŃSKA

„Pójdźcie, o dziadki...”

LUDWIK JERZY KERN

Wiersz pisany w czasie bólu głowy

To nie ja jeden, mol państwo,
Tak cierpi dużo szarych ludzi,
Boli nas boli, mol państwo,
po nocach nas bezczelnie budzi.
Wlezie gdzieś w skronie, no, i rady
nie możesz sobie dać z tą głową, —
Mrużysz powieki, chodzisz błądy,
myśleć nie możesz przepłisowo,
bo ci ból głowy myśli miesza
i źle ci tak, że chcesz się wieszad...

To nie ja jeden... Ma to samo
Kopciński, Szumyk, Duś, Rozbecka,
Stankiewicz, Gryndus, Harak, Kamolli,
Foryś, Wykiewicz, Podskarbiecka,
Danek, Kamiński, Rygwar, Bzdziński,
Śpiewak, Grzędzelski, Olcha, Wojski,
Stefański, Kinol, Lidski, Gliński,
króciutko mówiąc, ma pół Polski,
to w dzień, to w nocy ów ból głowy
bardzo nerwowy i niezdrowy.

Ze wszystkim robi się porządek,
(z radością obserwuję sam to)
idzie się naprzód, z czasu prądem,
się występuje przeciw kantom.
Wszystko, co złe jest, to się zwalcza,
dąży się wzwyż, do lepszej doli.
Przyszłość już świta gospodarza—
A głowa, jak bolała, boli.
Więc, moim zdaniem, idzie o to,
żeby wypłenić jeszcze zło to.

Odwaliliśmy już z połowę
zadań, historii biorąc lekcję,
Wszystko w Ojczyźnie mamy nowe:
nowe tendencje i koncepcje.
Nowe urzędy, nowe szkoły,
nową publiczność na teatrze —
I nowych polskich świętych gołych,
jak mi się zdaje, mamy także.
Czas chyba zatem na ból głowy
wynaleźć środek jakiś nowy!



Rys. Karol Baraniecki

PASKARZE

W ZWIĄZKU Z DZIAŁALNOŚCIĄ GUBERNATORA
AMERYKAŃSKIEJ STREFY OKUPACYJNEJ GEN. CLAY'A



Rys. Karol Baraniecki

Pok U.S.A.

STEFAN STEFAŃSKI

Różne nasze dzienne sprawy

Na ogół takie rzeczy słosuje się przy zagubieniu srebrnego lisa, kolii z blauwajsem czy cenego pleska chow-chow, lecz w tym wypadku „30.000 zł, nagrody możesz otrzymać” w sposób do pewnego stopnia uczciwszy i bardziej moralny. Nie za kradzież lub detektywistykę, ale za ruszenie mózgiem celem opracowania najlepszej metody ściągania skór świńskich. Za to właśnie, jak wynika z ogłoszeń we wszystkich gazetach — Centrala Skór surowych gotuje nagrodę 200.000 zł.

Bardzo jesteśmy ciekawi rozwiązania konkursu. Trzeba bowiem stwierdzić, że Centrala Skór Surowych trudną skórę dała do opracowania. Twardą, szpiciniastą oporną, no, co tu dużo gadać — świńską. Co innego, gdyby przedmiotem konkursu — była, przepraszam, delikatna skóra ludzka. Wtedy bardzo wiele osób znalazłoby odpowiedź godną nagrody: najlepsza metoda ściągania skóry ludzkiej — założyć sklep. Tam się bowiem skórę obdziera tak szybko i dokładnie, że nawet człowiek nieraz nie zdąży zauważyć, że „już jej nie ma”.

Wypada przyznać, że niestety „przemysł” polegający na ściąganiu skóry ludzkiej, przemysł precyzyjny i oparty na inżynierii, nie cieszy się ani uznaniem ani poparciem t. zw. czynników.

Nie tylko go nie wstawiono do trzyletniego planu produkcji, lecz nawet — popatrz, popatrz — uchwalono przeciw niemu całkiem ostre sankcje.

Po opublikowaniu wiadomości o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla Rządu w zakresie zwalczania drożyzny i nadmier-

nych zysków w obrocie handlowym — przeczytaliśmy w prasie bardzo miłą tudzież rozrzewniającą Odezwę do Prywatnego Przemysłu i Handlu.

Redaktorzy Odezwy (Izba Przemysłowo-Handlowa, Zrzeszenie Branżowe Przemysłu Prywatnego, Wojewódzki Związek Zrzeszeń Kupieckich) słusznie zauważają, że „nadszedł za tym moment, w którym należy zwalczyć w sposób zdecydowany elementy spekulacyjne”. Słusznie też wzywają cały prywatny przemysł i handel, zrzeszenia kupieckie i przemysłowe, aby „zadokumentowały swój wkład”.

„Wkład” ten należy „zadokumentować” tym bardziej (o czym Odezwa nie wspomina), że w przeciwnym razie grozi „wykład” z prawa karnego.

* * *

„Obecność w mieście drapieżnego i często szkodliwego kapitału spekulacyjnego jest jedną z przyczyn ogólnego wzrostu cen”. Obecność w świecie drapieżnego i często szkodliwego kapitału spekulacyjnego jest jedną z przyczyn ogólnoswiatowego bałaganu.

Kapitał ów „dokumentuje swój wkład” przy pomocy słynnych pożyczek. Pożyczka, ale przytem sobie wiele życzy. Dlatego też na czek w tych warunkach czeka tylko Czang-Kai-Szek, na „złote maksymy” — Maximos i nie uważa za „kismet” takiego dolara Ismet Inonu.

Reszta nie wyłączając ostatnio W. Brytanii, gdzie labourzyści na propozycje: Keep dollar (trzymaj się dolara) znaleźli odpowiedź keeb left (trzymaj się lewej strony) ma „przesądzić” co do politycznej spekulacji.

BOGDAN BRZEZIŃSKI

NAPIĘTNOWANY

Pan Hilary Mruczek szedł do biura w doskonałym humorze. Wczoraj wręczył żonie 300 złotych. Powiedział, że to „remunercja”. Żona tylko się lekko uśmiechnęła. Kobiety mają intuicję!

A swoją drogą z tym Bączkiewiczem poszło niezwykle łatwo. Pan Mruczek ani się spodziewał. Długo się wahał, czy wejść na tę drogę... Ale żona nie ma bucików, syn ma koklusz, córka nie ma płaszczka... I pan Mruczek wszedł na tę drogę.



Jego bolesne skrupuły zupełnie rozproszyła radość żony. Ponieważ Bączkiewicz był stałym klientem urzędu, zaryzykował obiecać małżonce, że w najbliższym czasie da jej jeszcze trzy extra...

Gdy wszedł do urzędu, woźny powitał go z grobową miną. Pan Mruczek tego nie zauważył.

— Jak się pan ma, panie Ignacy? — zapytał przyjacielsko.

— Obiec! — odparł ponuro woźny? A naczelnik już jest.. Kazał panu powiedzieć, żeby pan zaraz do niego przyszedł...

Pan Mruczek zdziwił się nieco. W pierwszej chwili ani pomyślał, że to może mieć jakiś związek z Bączkiewiczem.

— Zaraz idę, panie Ignacy — powiedział.

Woźny przeprowadził go powłóczywym spojrzeniem.

Pan Hilary pedantycznie zawiesił płaszcz w szafie, kapełusz położył na półkę, założył czarne półrękawki, wyrównał krzywo stojący kałamarz, uśmiechnął się do swoich wczorajszych wspomnień i mruknął pod nosem:

— Teraz pójdę do tego nudziarza!

Zapukał.

— Proszę! powiedział basem naczelnik.

Pan Hilary wszedł.

— Sługa pana naczelnika!

— A, to pan... — rzekł zimno naczelnik.

Popatrzył bystro na urzędnika.

— Wiem wszystko... — powtórzył naczelnik.

Pan Mruczek zadrżał. Momentalnie stanął mu przed oczami Bączkiewicz i trzy tysiące złotych.

— Panie naczelniku... — zaczął łamiący się głosem.

— Pan się przyznaje? — spytał sucho naczelnik.

Pan Hilary zwiesił głowę.

— Tak jest, panie naczelniku. Wziąłem! Ale proszę pomyśleć... Żona nie ma bucików... Dziecko ma koklusz...

— No? — wtrącił naczelnik niecierpliwie.

— Córeczka nie ma płaszczka. Do szkoły nie może chodzić.

— Rozumiem — córeczka — wtrącił naczelnik drewnianym głosem.

Pan Hilary przełknął ślinę.

— I pokusa... Diabeł — Bączkiewicz... Pan naczelnik rozumie? Ale mam za sobą dwadzieścia trzy lata służby! Uczciwej, bez skazy! Wszyscy powiadają bierz, głupcze! Walczyłem... Walczyłem!! Ale cóż? Siła wyższa! Vis ten...

— Maior... — odpowiedział naczelnik ze zmarszczonym czołem.

— Właśnie! Maior! I wziąłem...

— Ile pan wziął? powiedział naczelnik groźnie.

— Trzy tysiące, panie naczelniku! — wyznał pokornie urzędnik.

— Trzy tysiące! — wykrzyknął naczelnik — Za załatwienie sprawy Bączkiewicza?

— Tak, Bączkiewicza.

— I zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan zrobił?

— Tak jest, panie naczelniku, zdaje sobie...

Naczelnik załamał ręce.

— Panie Mruczek!! Pan człowiek w tym wieku...



— To straszne, panie naczelniku! — załkał urzędnik.

— Pan, człowiek w tym wieku — powtórzył z naciskiem naczelnik — nie potrafi ocenić, jak jakiś dzieciak, ile była warta sprawa Bączkiewicza! Toż przecież można było śmiało wziąć dwadzieścia kawałków! Czy pan wie, jakiego bigosu pan narobił? W godzinę później przyszedł Kłaputkiewicz z firmy „Kłaputkiewicz i Pampuch” i miał do załatwienia podobną sprawę. Gdy mu kolega pański Iglowicz zaśpiewał piętnaście tysięcy — Kłaputkiewicz powiedział: „Przepraszam; a pan Mruczek Bączkiewiczowi taki sam interes załatwił za trzy...” Czy pan pojmuje, jak pan postąpił? Wstydl! Pan podkopał byt wielu rodzin, i to rodzin pańskich kolegów! Pan jest aspołeczna jednostką, panie Mruczek!!

Pan Hilary ocierał chustką łzy z oczu.

— No, niech pan nie płacze... — udobruchał się naczelnik —

Tylko na drugi raz niech pan nie postępuje lekkomyślnie... Gdy pan nie będzie wiedział, ile powiedzieć to proszę zwrócić się do mnie. Ja znam nasz cennik. No, mam nadzieję, że pan się poprawi, panie Mruczek!

I naczelnik wyciągnął dłoń do pana Hilarego.

JERZY ZAJĄCZKOWSKI

Poeci

Poeci to dziwna kasta
z jakiejś błękitnej parafii —
włóczą się nocą po miastach
do domów nie mogąc trafić.

Włóczą się od dzieciństwa,
samotni ze swymi snami —
Co więcej: czy piękno, czy świństwo
kochają, nie wiedzą sami.

Księżyc im drogę zagradza,
gwiazdy mrugają z wysoka —
Jedna nad nimi jest władza
o konwencjonalnych lokach.

Chociaż z innymi żyją
tę tylko wielbią dziewczynę,
Toasty po szynkach piją
na cześć jej wódką lub winem.

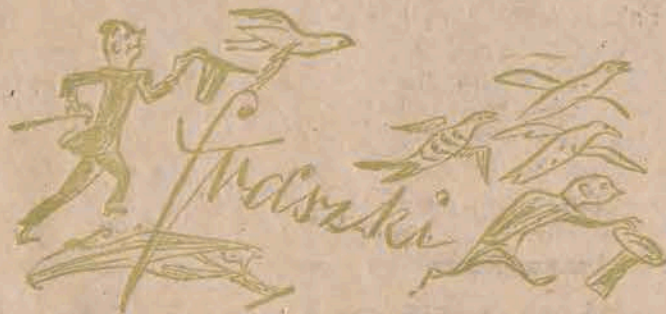
Potem się do niej modlą
nocą głęboką i ciszą —
I łudzą się wiarą niemądrą,
że dla niej coś napiszą.

Że wyjdzie im jakaś canzona,
sonet, ballada lub oda —
Coś tak wielkiego, że ona
oczarowana — się odda.

Lecz na nic wysiłki mózgów
i na nic trwanie w legendzie:
dziewczyny tej w swoim łóżku
nikt nie miał i mieć nie będzie.

Można pisać wierszyki
pełne uroczej finezji
i zawsze przy niej być nikim
— erotomanem poezji.

Żaden poeta (niestety!)
nie jest Duszyńskim Jerzym.
Żaden poeta (niestety!!!)
nie może w to uwierzyć...



JAN CZARNY

SPRAGNIONEJ KOMPLEMENTÓW

Pragniesz komplementów? Tyle one warte,
co pochwała książki przed rozcięciem kartek...

SPIEWACZCE

Na Twoim koncercie spostrzegł to niejeden,
że od C górnego, lepsze masz dolne D.

FRASZKOPISOWI

Patrząc, Wiesiu miły, na małżeństwo Wasze
już wiem, skąd czerpiesz temat do pisania fraszek...

O JEDNEJ

Nie pije, nie pali, poglądy ma nieciasne:
Posiada wszystkie enoty, prócz jednej — swej własnej...

Życie ułatwione domaga się od swoich wyznawców coraz intensywniejszej fantazji i pomysłowości.

Jeszcze półtora roku temu można było odczepić wagon konserw rybnych, zostawić go przez rozrżnięcie na bocznicy, mrugnąć okiem pod adresem oblesnie uśmiechniętej figury w gabardinowym płaszczu — i portfele upajająco szeleściły tyśnięczkami.

Ale czas działa na niekorzyść życia ułatwionego. Rok temu ob. ob. Grzanka i Kaczorek potrafili zainkasować w pewnej szcudrej instytucji (może w Filmie Polskim?) znaczne sumy za szczegółowo opracowany projekt kanału Łódź—Kołuszki—La Manche.

Potem jednak poszły drobniejsze okazje, jak np. podziśdzień niezrealizowana budowa studni artezyjskiej w Kabotyniu Laskim.

To oni również, jako nieznanzi w następstwie sprawy, podjęli się za niezbyt wygórowaną opłatą zorganizowania domu wypoczynkowego dla poborców podatkowych, w dolnośląskim uzdrowisku Papierowa Górka, dostarczając zainteresowanym nawet fotografii tego domu, którą przyspilono do asygnat kasowych w charakterze dokumentu uzasadniającego wypłatę. (A propos: może kto wie, gdzie jest ta Papierowa Górka, gdyż — mimo usilnych zabiegów, mimo apelu do kartografów — dotąd nie ustalono położenia geograficznego tej podobno perły uzdrowisk dolnośląskich?)

W innej znowu okolicy centralnej panowie Grzanka i Kaczorek zgłosili również chęć zorganizowania domu. Tym razem dla pracowników zakładów kosmetyki damskiej. Ale tam usłyszeli, że, niestety, ktoś ich w tym uprzedził. Właśnie czekają tam od trzech miesięcy na depesze, radośnie donoszącą o rezultatach. Już nawet sporządzono pierwszą listę wczasowiczów.

Włęc przyjaciele postanowili zmienić kierunek inicjatywy, przez skanalizowanie jej w sektorze dziewiczej, jak dotąd, działalności kulturalnej.

A w sektorze tym, wiadomo, co chwytą: księgi pamiątkowe!

Każdy sprawnie funkcjonujący wydział kultury i sztuki w

JAN HUSZCZA

Życie ułatwione

każdym mieście lubi mieć w dorobku ozdobną księgę pamiątkową. Niejeden z was widział zapewne pękate dzieło albumowego formatu, zawierające podobizny wszystkich wyższych urzędników, zesnurowane jedwabną nicią o złocistym połysku, dziełko p. t. „Powiatowe miasto Kiełpiny — ludzie — instytucje — osiągnięcia”...

Ta właśnie księga stała się punktem wyjścia dla naszych nieustrudzonych pionierów. Nabyli jeden jej egzemplarz, zapakowali do teczki, wykupili bilet kolejowy i ruszyli w podróż pogwałtownie odradzającym się kraju.

Nie będziemy, oczywiście, wdawać się w szczegóły. Szczegóły, jak wiadomo, tylko rozszadają kompozycję. W każdym bądź razie, panowie, występując w roli utalentowanych autorów powiatowej księgi pamiątkowej Kiełpin, w ciągu krótkiego stosunkowo czasu zdołali przekonać osiemnastu naczelników w osiemnastu wydziałach osiemnastu miejscowości o użytkach podobnego wydawnictwa.

I dopiero w dziewiętnastym z kolei zarządzie miejskim panów Grzankę i Kaczorkę przyjęto dość szczególnie. Może dlatego, że naczelnik był na urlopie, a przyjął ich sam burmistrz, człowiek napewno w potrzebach kultury i sztuki słabo zorientowany.

— Księgę pamiątkową chciałiby panowie opracować? — wnikliwie wpatrzyła się w nich siedząca za biurkiem otyła głowa miasta, kształtem swoim przypominająca wzorowy burak pastewny z wystawy rolniczej. — Właśnie, właśnie... — skromnie podkreślili swoją gotowość dwaj inicjatorzy.

— I umowę chcą panowie podpisać? — pytał dalej burak pastewny.

A wiało od niego jakimś chłodem, może zwyczajnym chłodem dygnitarza, a może innym. Zresztą, przyjaciele nie zwrócili na to uwagi.

— I umowę! — przytaknęli.

— No, ja — się — w — zasądzie — zga dzam — członkując

słowa na zgłoski z dziwnym uśmiechem powiedział burak — Niech panowie zaczekają, a ja sekretarce wydam odpowiednie dyspozycje.

Wstał i przeszedł do sąsiedniego pokoju, zostawiając zadowolonych z obrotu sprawy przyjaciół.

Z za ściany przez kilka minut dobiegał ożywiony przeszept. Wreszcie burak pastewny wrócił ale w towarzystwie jeszcze dwóch jegomościów. Wszyscy mieli niedobry wyraz twarzy. A burak położył przed Grzanką i Kaczorkiem duży arkusz żółtego papieru i powiedział:

— Oto umowa! Niech panowie tego... hm... podpiszą.

Trójka zgodnie wybuchła śmiechem.

Panowie zaś skwapliwie spojrzeli na umowę i w pierwszej sekundzie ogarnęli ich coś jak gdyby odrętwienie. Potem przetarli oczy. Potem spojrzeli dokoła. Próżno jednak było się łdzić: przed nimi zamiast umowy leżał zwyczajny, ordynarny list

goczy. Z listu martwo patrzyły na nich własne twarze.

To za pośrednictwem odpowiednich władz wzywała obu przyjaciół do powrotu municypalność Kabotyńia Lackiego. Widocznie bardzo jej spieszło się z realizacją owej studni artezyjskiej. Nadojadła, widocznie, zupełnie przecie znośna woda ze stawu.

Wezwwanie bardzo naszych przyjaciół wzruszyło, gdyż, nie czekając na właściwą umowę, wstali i chcieli natychmiast się pożegnać. Ale burak i owi dwaj przystąpili do nich z brutalną perswazją:

— Wolnego, przyjaciele!...

Na tem nasze informacje, dotyczące losów ob. ob. Grzanki i Kaczorka, niestety, urywają się.

Możemy jeszcze tylko dodać, że po dzień dzisiejszy z okien osiemnastu wydziałów kultury w osiemnastu miejscowościach wychyla się osiemnastu naczelników. Spojrzenia mają tęskne, wypatrujące. Wydaje się im, że lada chwila ujrzą zbliżających się od strony akcyjnych szpalerów panów Grzankę i Kaczorka z jakże upragnioną nowiną:

— Pierwsze egzemplarze księgi pamiątkowej już wyszły z druku, obywatelu naczelniku...

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Na śmierć Błażeja Biurokracego

Po wieloletniej ciężkiej pracy
W cichym, przytulnym swym urzędzie —
Leży w grobie Błażej Biurokracy,
Niechże mu ziemia lekka będzie!

Za trumną kilku szło najdroższych,
Marsz pogrzebowy brzmiał posępnie.
Za życia w tego marsza tempie
Załatwiał ludzi nasz nieboszczyk.

Interesanci nie człapali
Za jego trumną z gorzkim łkaniem,
Bo znacznie wcześniej już skonali,
Zabici jego załatwianiem.

Ja jeden, który nie skołałem,
Pomimo że mnie również Błażej
Załatwiał, wiersz ten napisałem
I za Błażeja trumną łażę.

Pogódźmy się z tym ciężkim ciosem
I pochowajmy go tak prędko,
Jak on w urzędzie swe okienko
Zamykał nieraz przed mym nosem.



— Wyobraź sobie, kupiłam miesiąc temu pończochy i jeszcze są całe...
— I nosisz je codzień?
— Nie, chodzę bez pończoch...

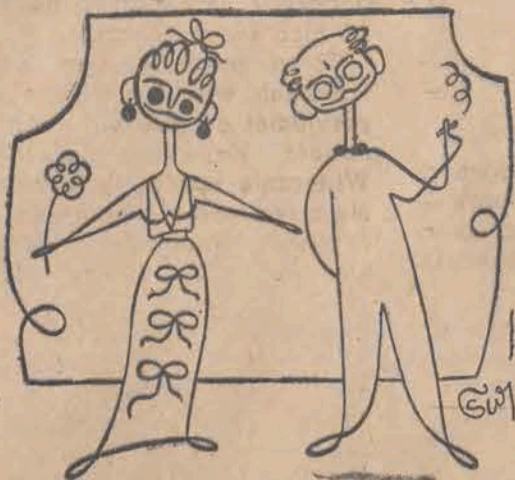


— Wykapany ojciec. Krzyczy, kiedy go się odstawia od piersi!



— Mojemu mężowi zaraz po ślubie zabroniłam pić palić!
— No i co? Usłuchał panią?
— Nie wiem. Od tej pory więcej go nie zobaczyłam...

Rys. Adam Bieńkowski



Rys. Artur Maria Swinarski

— Czy ładnie mi w tej sukni?
— Ładnemu we wszystkim ładnie,
ale najładniej ładnemu bez niczego.



Rys. Zbigniew Klulin

— Widziałeś?
— Widziałem. Jak on to robi?
— On nie żebrze, tylko naciąga na pożyczki.



Rys. Artur Maria Swinarski

— Muszko, dlaczego na każde pytanie odpowiadasz pytaniem?
— Rzeczywiście?

Powiadają, że dzisiaj stanowisko można zdobyć tylko przez protekcję. Awansować — powiadają — też można tylko przez protekcję. Nie wiercie, obywatele! Wcale tak nie jest! Czasami bywa zupełnie inaczej. Vice versa — jak powiadają uczeni filologowie i aptekarze.

Nie wierzyacie? No, to posłuchajcie, co się przydarzyło znanemu obywatelowi, niejakiemu Mateuszowi Piętce. Otóż Mateusz Piętka piastował małą urzędniczą. Może właśnie dlatego, że urząd był taki mały, Piętka musiał go piastować. I marzył stale ob. Piętka, żeby awansować na wyższe stanowisko.

— Bał rozmyślał. — Gdybym miał plecy, tobym zaraz skoczył na wyższy szczebel! A tak — co? Do końca życia będę marnował zdolności, jako tak zwany pionek!

I ciągle marzył, żeby tak jakoś przypadkiem zdobyć te plecy. Aż raz córka Piętki, która wyszła za mąż za pioniera i wyjechała z nim na Zachód, powiła dziecko. Córeczkę, jeśli chodzi o ścisłość.

Doniosła rodzicom telegraficznie, że szczęśliwie donosiła, i zaprosiła na chrzest. Koszty obiecała zwrócić. Wiedomo — mąż pionier i cwaniak do tego,

KAROL KOWALSKI

Przez protekcję

to na pewno sporo rzeczy na Zachodzie „odzyskał”...

Pan Piętka wziął trzy dni urlopu i pojechał do tego Walbrzycha. Zona pojechała dzień wcześniej, więc jechał sam. A w pociągu, rzecz jasna, więcej ludzi niż miejsc. Ciasnawo. Można powiedzieć: po głowach depcą! Ale Piętka jakimś cudem kawałek miejsca zdobył. Siedzi. A tu koło niego zatrzymał się jakiś gruby facet i jęczy okropnie.

— Puśćcie mnie! — błaga — Choć na chwileczkę puśćcie mnie do okna, bo się uduszę! Astmę mam i tchu mi brak!

— Jak kto ma astmę, to siedzi w domu, albo własnym autem jeździ — wtrąca jakaś złośliwa paniusia.

Ale Piętka — człowiek poczciwy. Żał mu się zrobiło grubasa. A nuż go szlag trafi? Będą tylko nieprzyjemności i pociąg może wyruszyć z opóźnieniem. Więc, powiada grzecznie:

— Tu jest jeszcze kawałek miejsca. Niech pan siada.

No, to ten gruby obywatel usiadł. Najpierw ostrożnie, a potem wygodnie. Prawdę mówiąc — przydusił mocno obywatela Piętke.

— Dziękuję stokrotnie! — powiedział, ocierając pot z czoła. — Tak to jakoś dojadę. Są jeszcze poczciwi ludzie na świecie!

I zaraz przedstawia się: — Kuszpietowski jestem, kupiec.

— A ja Piętka. Bardzo mi przyjemnie! Urzędnik. Pracuję w Urzędzie Szczepienia Gruszek Na Wierzbie.

— Taaak? — zdziwił się gruby — To tam naczelnikiem jest Kazio Tupadliński, prawda?

— No tak. Pan Tupadliński jest naszym naczelnikiem! — wykrzyknął Piętka, zdumiony, że ktoś naczelnika nazywa „Kaziem”.

— A to dopiero! — zawołał kupiec — Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek to tego!... Popatrz pan, panie Piętka...

— Piętka...

— Przepraszam: Piętka! Popatrz pan! My kolegowaliśmy z Kaziem w jednej budzie, w Tarnowie. Jego stary miał trzy kamienice i fabrykę. Strasznie żywy chłopak był z Kazim! Miał bujną, czarną czuprynę. Jeszcze ma?

— Nie. Ostatnio raczej ma łysinę... — wyjaśnił nieszmiało pan Piętka.

Był wstrząśnięty. Taka okazja! Protekcja! samo niebo zesłało do tego wagonu pana Kuszpietowskiego!

— No — to pozdrów pan ode mnie Kazia — poprosił kupiec — na pewno się ucieszył!

Gdy po trzech dniach pan Piętka wrócił do biura, serce biło mu mocno. Oto za chwilę przekaze naczelnikowi ukłony. Naczelnik się ucieszy, wda się w pogawędkę — a stąd już krok do sympatii i awansu!

Wreszcie naczelnik przyszedł. Pan Piętka zerwał się z krzesła i drżącym głosem, czerwony z emocji jak burak, oznajmił:

— Pan Kuszpietowski polecił kłaniać się panu naczelnikowi!

Naczelnik zatrzymał się. — Co za Kuszpietowski? — spytał, marszcząc brwi.

— Kolega szkolny pana naczelnika. Z Tarnowa... Kazał się właśnie tego... Że pozdrowienia...

— Dziękuję! — mruknął naczelnik i szybko odszedł do swego gabinetu.

Usiadłszy przy biurku, naczelnik zaczął rozmyślać z irylacją:

— Ładna historia! Diabli nardali tego dumia Kuszpietowskiego! Gaduła i plotkarski jakich mało! Akurat musiał się poznać z tym idiotą Piętka!... Na pewno zaraz mu naopowiadał, że ojciec wyzyskiwał robotników, że był burżujem i że ja raz gwizdając starym sto koron i dopiero po tygodniu złapali mnie w Krakowie! Ładna opinia o poważnym, łysym naczelniku urzędu! Nie ma co — trzeba będzie pozbyć się tego kretyna Piętki... Dobrze się składa, że akurat kazali skasować trzy etaty...

I zaraz wezwał ob. Piętke. W dwie godziny później Piętke spotkał znajomy na ulicy.

— Coś ty taki przeraźliwie smutny? — spytał znajomy.

— A z czego mam się cieszyć? Zredukowali mnie!

— Bój się Boga! Niemożliwe! Dlaczego?

Mateusz Piętka wzruszył ramionami i odparł z przekonaniem:

— Po prostu — przez protekcję!...



Rys. Karol Baraniecki

Seryjna produkcja Wolności

Nie, nie myślcie, panowie, że to coś nieprzyzwoitego albo że lunatyk. Nie, to nie „Marcowy kawaler”, to powojenny wynalazek, który za czasów niemieckich nauczył się oszukiwać władze i lasowca, co się da i gdzie się da, a teraz czyni to dalej na polskiej skórce. Posiada w sobie zwierzęcą amoralność i zawsze jak kot pada na cztery łapy. Czasem kota przyłapią i za karę zamykają do piwnicy, ale on sprytniejszy od wszystkich, już jakąś dziurą wylazł na powierzchnię, przeciągnął się, rozglądając wokoło i hyc na stół po kawałek mięsa.

„Mężczyzna-kot” w momencie, gdy jest na powierzchni i prosperuje, ma kupę zwolenników. Gdy go na chwilę zamkną, zwolennicy cieszą się i biją się po udach z radości. — No, narzeczcie go całęli! — cieszą się — igrał, igrał, aż się doigrał! Będzie mu teraz, będzie mu... —

A tymczasem, figa! — Po kilku tygodniach już widzimy mężczyznę — kota jak z gładkim uśmiechem na pulchnej buzi jeździ nowym własnym wozem po ulicach miasta. Z resztu przyniósł odznaczenie, które sobie przypiął do marynarki, a które sobie poprostu kupił, i odznakę byłych więźniów politycznych.

Co druga kobieta jest dumna i szczęśliwa, gdy może uwieńczyć jego skroń kochającą dłońią, bo i jakżeż tu nie kochać takiego, który wpada i mówi:

— Jestem na dole z wozem...

A potem wiezie do najdroższej restauracji płaci rachunek wynoszący 30 tysięcy! — Niedługo potem znów jakaś skandaliczna afera, w gazetach jak byk widnieje nazwisko męż-



czynny-kota. Radość jego przyjaciół nie ma granic:

— No, teraz to już sobie dłuższy czas posiedzi! — cieszą się pocziwie.

— Dłuższy czas, powiadacie? Chyba nie znacie naszego kiciusia. Ma on swoje kocie sposoby, swoje wykręty, swoich kocich adwokatów. Już w niedługim czasie jest znów na powierzchni, został ważnym dyrektorem jakiejś instytucji na zachodzie i każdy szuka u niego protekcji.

— Ho, ho! — mówią jego przyjaciele. — To teraz wielka figura! Trzeba przyznać, że chłopak ma głowę do interesów, to nie byle kio! —

Kobiety szaleją za nim, ma już trzecią żonę, a co jedna to piękniejsza. Każda ma z nim lisa, a ta ostatnia ma z nim nawet dwa lisy. Co drugi obywatel zazdrości mężczyźnie-kotu, ale cóż, nie każdy może nim być, trzeba mieć jego spokój i odwagę, jego tupet i kocią zrećność, trzeba potrafić piąć się wysoko do góry, jak kot za wróblami po drzewie, a potem, gdy go się złapie, trzeba umieć się łasić i być pokornym i mieć kocią pogardę dla ludzi.

Ponieważ jest na wpół zwierzęciem, więc nie czyta książek, do teatrów nie chodzi, chyba do teatryku „Siedem Kołów”, a przyszedłszy do sklepu z obrazami, o których już wie, że je należy kupować mówi rozkazującym tonem:

— Proszę dwa metry Kossaka — albo — Chciałbym cztery metry Axentowicza. W antykwariacie mówi:

— Kinkiety som? — A potem wskazując na jakiś „lanszet” powiada poważnie:

— Kupiłbym ten obraz, ale musi być do niego odpowiedni „dupant”!

Imponują mu tylko i wyłącznie pieniądze i ci, co je posiadają.

Interesiki może z nim robić tylko taki, który się wykaże

paszportem złożonym z kilku milionów. Ponieważ w przeszłym życiu był kotem, więc ludzkie życie bawi go o wiele bardziej niż nas, do tego życia od wielu pokoleń przywykłych. Bawi go jeszcze picie i żarło, cieszy Dymsza i piosenka: „O mojej Warszawie”, własne „osobówki”, napawają go dumą i radością, posiada szaloną świeżość doznań, których mu można pozazdrościć. Myśli o chorobach, o „pozagrobówce”; które tak nas wszystkich przesładują, tęsknota za tymi, którzy odeszli — wszystko to nie ma dostępu do mężczyzny-kota. Niedawno dowiedział się, że należy mieć rasowego psa, kupił więc sobie długowłosego jamnika za 15 tysięcy, ale drażniło go to, że jest taki przyziemny i ma takie krótkie krzywe nóżki, więc zaczął mu dawać do zażywania „Vigantolu”. Pieskowi po tej kuracji wyprostowały się nóżki, wyrósł na dużego, dzicwacznego psa niewiadomej rasy. Mężczyzna-kot jest tak dumny, że posiada takiego psa, jak nikt, że nie należy mu tej przyjemności psuć. Nie wiadomo bowiem, gdzie i przy jakiej okazji może być pożytecznym i kiedy go jeszcze będziemy potrzebowali.

Magdalena Samozwaniec

W. DRAGUNSKI

NIE MA CZASU

Drzwi zatrzasnęły się z hałasem. Kilku bywalców tej przytulnej kawiarni podniosło głowy z przerażeniem. Gość szybko i nerwowo rzucił odzwiernemu czapkę

i podszedł śpiesznie do stolika stojącego samotnie na środku sali.

Nie zdążył jeszcze usiąść, jak należy, gdy zaczął gorączkowo przeglądać piękną kartę z menu. Potem spojrzawszy nerwowo na wiszący nad oknem zegar miejski, porwał nóż i zabębnił nim wściekle po popielniczce. Natychmiast wyrósł przed nim starszy kelner.

— Czym mogę służyć?

— Kieliszek wódki i pierożek — odpowiedział dobitnie — tylko jak najprędzej, nie mam czasu. Muszę zdążyć zanim to się zacznie.

— Za chwileczkę.

Po chwili wódka i pierożek zniknęły w ustach dziwnego gościa.

— Tak — rzekł zadowolony i nagle zaczął się znowu śpieszyć — teraz poproszę koniaku i plasterek cytryny. Tylko prędzej, prędzej! Muszę zdążyć zanim się zacznie ta awantura.

— Proszę... na zdrowie.

— Ach... koniak wspaniały! A cytrynka taka sobie... No, a teraz likieru, likieru! I jabłka! I ze dwa duże piwa! Tylko, na Boga prędzej, błagam prędzej, zanim się zacznie ten przekłety skandal!

— Proszę się nie niepokoić, za chwileczkę usługę. Tylko jednego nie rozumiem, obywatelu, o jaki to chodzi skandal?

— Jaki o jaki! A kiedy powiem że się mam czym płacić. To dopiero na robicie krzyku i hałasu! Ho, ho, ho!

Przełożył — kaj —

PRASA ANGLOSASKA NARZEKA NA CIĘŻKĄ SYTUACJĘ APROWIZACYJNĄ NIEMIEC



Rys. Karol Baraniecki

Niemcy są głodne!

ADAM ROGALSKI

W ZWIĄZKU Z ENERGIJĄ AKCJĄ WŁADZ PRZECIW PĘDZENIU SAMOGONU

Były pan Nowaczek

Gdy miałem jakiegokolwiek kłopoty, mój przyjaciel Nowaczek zawsze się ze mnie natrzęsał:

— A widzisz, masz kłopoty, bo jesteś żonaty... Masz duże wydatki, bo jesteś żonaty! Masz często zepsuty humor, bo popełniłeś tę nieostrożność, że się ożeniłeś. A dlaczego, przyjacielu kochany, nie postąpiłeś tak jak ja? Widzisz dobiegam czterdziestki, a wyglądam jak róża i czuję się znakomicie! A dlaczego? Bo zostałem wierny stanowi kawalerskiemu!

Słuchając tych wyjaśnień, uśmiechałem się kwaśno. Ale w głębi duszy, zazdrościłem memu przebiegłemu przyjacielowi.

Przyznam się szczerze, iż przeczyłem mu w głębi duszy, żeby i jego — mówiąc patetycznie — trafiła kulka z pepeszy Amora.

I tak się też stało!

Przyszła kryśka na Matyska! Nowaczek zakochał się. Zakochał się po uszy. W trzy miesiące po niezwykłym fakcie — otrzymałem zaproszenie na ślub. Poznałem jego wybraną. Była owszem, owszem... Przystojna, zgrabna, wygadana i energiczna.

Już przed ślubem dyrygowała moim przyjacielem.

— Franu! To — Franu — tamto... A żywo, Franu! Coś ty taki ślamazarny. Nie zapominaj, że jesteś poniekąd głową domu... W dwa miesiące po ślubie spotkałem Nowaczka w kawiarni. Siedział osowiały nad półką czarnej. Po minie widać było, że jego myśli są czarniejsze niż ta kawa.

— Coś taki zgaszony? — spytałem z dobrze udanym współczuciem.

Machnął ręką.

— Ot, tak sobie... — mruknął



Sam ogonek

Rys. Stanisław Cielech

— Trudno całe życie być wesółym...

— Zapewne, że trudno — odparłem ale widzę, że coś poważnego ci dolega?

Franio westchnął ciężko.

— To już ci wyznam wszystko — powiedział — Widzisz, ja właściwie przestałem być panem Nowaczkiem...

— Zmieniłeś nazwisko? — spytałem ze zdumieniem.

— Broń Boże! Ale nie przerywaj... Otóż przestałem być panem Nowaczkiem, a stałem się częścią spółdzielni małżeńskie, pod firmą „Państwo Nowaczkowe”... A wiesz, jak to jest ze spółdzielniami: zarząd opływa we wszystko, a członkowie figę z tego interesu mają! A zarząd tej małżeńskiej spółdzielni stanowi moja żona...

— A ty biedaku?

— Cóż ja? Pracuję i znoszę składki! Dawniej, gdy udało mi

się zrobić korzystny interes, mówiono: „Ten Nowaczek ma łeb!”

— a dzisiaj ludzie powiadają: „Ci Nowaczkowe — to spryciarze!” Albo jeszcze gorzej: „Jak ta Nowaczkowa umie tym fajtłapą pokierować!”

Słuchałem ze szczerym współczuciem. Poczęstowałem przyjaciela papierosem.

— Dziękuję, nie palę — powiedział.

— Dlaczego? Przecież paliłeś namiętnie?

— Tak, ale nam teraz szkodzi...

— Jaktó — „nam”?

— No, państwu Nowaczkom! Mnie podobno na serce, a żonie na firanki, więc nie palimy!

Chciałem zakląć, ale opanowałem się i poprosiłem:

— Mów dalej!

— Cóż ci jeszcze powiedzieć? Gdy raz wszedłem z żoną do

sklepu z konfekcją męską i poprosiłem o kołnierzyk, ekspedientka zapytała, zwracając się do mojej żony: „A jaki państwo mają numer szyi?” Rozumiesz? Przestałem być odrębnym sobą!

— A kim jesteś?

— Kim? Już ci powiedziałem! Jestem drobną cząsteczką państwa Nowaczków! Zostałem kompletnie i nieodwołalnie upaństwowiony!!!

Zażalłem się gorzko, dopił jednym łykiem kawę, wstał w milczeniu uściśnął mi dłoń i ruszył ku wyjściu.

— Franu! Nie zapłaciłeś za kawę! — zawołałem za nim.

— Piję kawę na kredyt — odparł ponuro — żona płaci rachunek o pierwszego!...

— Ach, tak? No, to do widzenia państwu! — odparłem mimowoli.

Postuchajcie żalosej opowieści o kochankach z Warszawy i jakich w miłości swej doznali przeszkód.

On mieszkał na Żoliborzu, ona na Pradze. Umówili się na szóstą przed „Polonią”. Przed piątą wsiadł w tramwaj na Placu Wilsona. Przesiadł się na 17-kę, jedzie stęskniony. Nagle tuż przed dworcem Gdańskim, pech. Stanął tramwaj. Przed nim kilka innych czeka w ogonku. Coś się popsulo.

Stoi tramwaj pięć minut. Stoi dziesięć. Czeką nieszczęsny kochanek. Publika się denerwuje. Wreszcie pytają się konduktora:

— No panie jakże tam? Prędko ruszy? — wzruszył konduktor ramionami:

— Czy ja wiem..:

Nie ma na co czekać. Wysiadają wszyscy. Marsz na piechotę.

Biegnie kochanek, aż tchu nie staje. Tymczasem ona już czeka stęskniona na miejscu spotkania. Minął kwadrans, dwadzieścia minut, pół godziny. Nie ma kochanka. I poszła.

Przyleciał kochanek na miejsce spocony, zżółtały. Spóźnił

WŁADYSŁAW SMÓLSKI

Opowieść o kochankach z Warszawy

się. O, rozpaczył! Niestety, zły los nie sprzyjał kochankom.

Znow się umówili na szóstą wieczór. Ale tym razem już bliżej kochanka, na Placu Teatralnym.

O piątą wsiadła kochanka w tramwaj na Karolkowej. Przesiadła się w „25” jedzie stęskniona. Nagle na moście pech! Stanął tramwaj. Przed nim kilka innych czeka w ogonku. Coś się popsulo.

Stoją pięć minut, stoją dziesięć, czeka biedna dziewczyna. Publika się denerwuje. Pytają konduktora:

— No, panie, jakże tam?

Konduktor wzruszył ramionami.

Nie ma na co czekać. Wysiadają wszyscy. Marsz na piechotę.

Biegnie kochanka, aż tchu jej brak. Tymczasem on już czeka stęskniony na miejscu spotka

nia. Minął kwadrans, pół godziny, godzina. Nie ma kochanki. I poszedł.

Przybiegła kochanka na miejsce spotkania spocona, zżółta. Spóźniła się. O rozpaczył! Niestety zły los nie sprzyjał kochankom.

Znow się umówili na siódmą wieczór, ale tym razem już bliżej kochanki na rogu Francuskiej.

Tak się złożyło, że kochanek miał tego dnia coś do załatwienia na Woli. Już pół do 6-tej wsiadł w tramwaj na Bema. Przesiadł się na 11-kę, jedzie stęskniony. Nagle gdzieś na Wolskiej pech! Stanął tramwaj. Przed nim kilka innych czeka w ogonku. Coś się popsulo.

Stoją pięć minut, stoją dziesięć czeka nieszczęsny kochanek. Tym razem nie pytał konduktora, piechotą dopadł Dworca Głównego. Tam się uczeplił 9-ki, dojechał do Marszałkowskiej. Stanął w ogonku w żelaz-

nym „ślimaku”. Jak zaczęli dreptać w „ślimaku”, ani się wy dostać. Uciekł tramwaj. Myśli — przyjdzie drugi. Czekaj, czeka: nie ma tramwaju. Mówią w tłumie: coś się widać popsulo na linii. Nie czekał dłużej, pognał piechotą przez most.

Pędzi, aż tchu mu brak. Tymczasem ona już czeka stęskniona na miejscu spotkania. Minął kwadrans, pół godziny, godzina. Nie ma kochanka. I poszła.

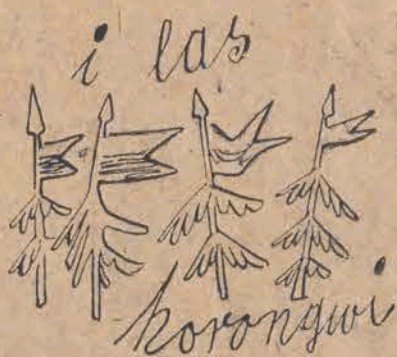
Przybył kochanek na miejsce spotkania. Spocony, zżółtały. Spóźnił się o, rozpaczył! Niestety, zły los nie sprzyjał kochankom.

I tak wyznaczali sobie rendez-vous do siedmiu razy, ani rusz nie mogąc się spotkać. Tylko przypadkiem. Nakoniec rzekli on do niej:

— Ukochana, zły los nam nie sprzyjał! Trudno. Lepiej umrzyjmy razem. Razem rzućmy się pod tramwaj.

Tak też zrobili, skąd też był wielki zator na Marszałkowskiej przez dwie godziny.

Stąd wniosek: jeśli nie masz samochodu, możesz się kochać tylko w pannie z tej samej dzielnicy.



Rys. Kazimierz Grus

Pan Wąsik był amantem mało elokwentnym. On potrafił mówić jak zakochany Demostenes. Pan Wąsik dbał przede wszystkim o odbudowę obywatelskiej twarzy Pcimia. On tańczył „boogie-boogie”, czytał „Przekrój”, grał na mandolinie, jak sam Paganini. Pan Wąsik śpiewał pieśni zawodowe, On oszałamiał Genię najnowszymi przebojami pod dyrekcją Jana Caimera, Czestawa Spodenkiewicza i Spodenka Aniolkiewicza. Pan Wąsik był skromnym dzierżawcą głośnika, On był posiadaczem radiodbiornika o sile studwudziesięciu koni.

Na miłosnym „tele-a-tete” pan Wąsik powtarzał: „Tośmy dzisiaj golili ondulowali, masowaliśmy”, On zaś śpiewał kuplety z „Syreny” i „Siedmiu Kotów” i znakomitego pcimskiego ansambli „Tu-Mi-Daj”. Panu Wąsikowi czuć było trochę z ust, jego otwór gębowy zionął ostatnimi nowościami naszego rynku fermentacyjnego. Pocałunki pana Wąsika były skupione, myślące, Jego głupkowate, bezmyślne. Panu Wąsikowi czuć było także nieco z nóg, Jego kończyny pachniały jak tylko może pachnieć „odnóż”, konserwowana w wybornej jak zawsze „Soli do nóg — Jana”.

Powiedzmy jeszcze: pan Wąsik był w zwoleńnikiem równości pici, uważał, że kobieta wyzwolona winna płacić za siebie sama, On był tradycyjnie zazdrosny, kupował kapelusze i w cukierni płacił za ciastka nieproszony.

Dodajmy jeszcze: pan Wąsik był w gruncie rzeczy trochę idealistą, On zaś idealizującym realistą. I to jeszcze: Wąsik należał do klasy „muszej”. On zaś już dawno przeniósł się do wagi „koguciej”. Nie dziwnym się, jeśli powiem, że romans pana Wąsika skończył się dwoma mor-

ZYGMUNT FIJAS

Człowiek nie jest szklanką

dobiciami: jednym z doniesieniem na MO, drugim — z doniesieniem (także pana Wąsika) do domu.

Nie dziwi nas również, jeśli po odzyskaniu zdrowia pan Wąsik postara się o szupas dla panny Geni, rozpuści pijawki, człowieka używanego do masażów odesła z powrotem do robot polnych, zakład zamknie i uda się zwyczajem stróżynych na wygnanie.

Na tym mógłby się nasz felieton kończyć. Moglibyśmy zaliczkę podjąć, zapłacić za gaz i trzewiki i więcej już do tego tematu nie wracać. Niestety wojenne życie jest zawile i to właśnie chciałem poruszyć. Przede wszystkim pijawki pokąsały wiele osób ze Związku Samopomocy Chłopskiej, w tym cztery córki głównego filaru tego przedsiębiorstwa (radcy Gądzikiewicza). Tym samym pokąsały czterech kontrolerów, wskutek czego inicjatywa prywatna zyskała niesłychanie na sile, masło zdrożało i podziemna niechęć kilku handlarzy nabierała zmienić się w nieprzejednaną nienawiść wobec rządu.

Następnie kochliwa Venus Nowego Pcimia, dyrektorowa NN z Wilna przestała kochać kancelistę MM ze Złoczewa i nie ponowiła swych starań kosmetycznych, gdy ten zjawiał się ze znakomitym kociolkiem do ondulacji wodnej.

Z kolei kancelista starał się uczesać swą damę w basenie okalającym dworzec, lecz odstąpił od tych myśli, zagrożony łagą stanowiącą własność zwrotniczego Nr 1.

Wskutek tego zagrożenia wykoleił się pociąg, stanęły cytryny i mnóstwo palaczy okrętowych spekulujących na dostawie owoców południowych zbankrutowało

Niebawem pijawki pokąsały przedstawicieli miejscowej farmacji, ktoś rozpowszechnił wiadomość, że pijawki były końskie i zatelefonowano do Wrocławia po pomoc lotniczą.

W trakcie starań rozżyła się brzydka burmistrzynie i kancelista ogolił sobie własnorecznie głowę i zanim ta sprawa rozstrzygnęła się w sądzie grodzkim, pewien były sekretarz BBWR nawiązał serdeczne stosunki z Jądzką wyjeżdżającą do kąpieli, nie powracając z kasą podręczną Organizacji Wielkiej „Wici”.

Wtedy zwrotniczy postanowił pozyskać serce NN handlem żyłek, ale ponieważ nie uzyskał pozwolenia na dostawę maszynek do golenia, bo nie wywiązał się dotąd z dostawy sody, manifestacja, która odbyła się po wyjeździe burmistrza miała dotąd wygląd odrażający. Wiele osób nie mogło wyjść na ulicę ponieważ nie mogło dokończyć golenia na skutek braku maszynek.

Wówczas jeden z mówców oświadczył, że będzie się starał u Rządu o pozwolenie i instrukcje, o ile otrzyma słosowne przydziały i rezolucje, a uzyskawszy je wyjechał dwoma Zissami i jednym Willisem, poczem nie wrócił.

Tymczasem pewien repatriant zmarł z braku pijawek, czupyryny poczęły coraz bardziej porastać, kilka osób zacięło się nie-

bezpiecznie w brodę, kogoś na śmierć zamasowano i na czole nowego burmistrza pojawił się brzydki fątel.

I już nasze miasteczko stałoby się widownią jakichś zaburzeń gdy pan Wąsik przebudził się. Przebywając na wsi i odżywiając się wprost u producenta, nabrał sił, przerzucił się z wagi „muszej” do „półciężkiej”, odbił Genię i wraz z masażystą powrócił do swych zajęć.

Powiadam wam, nie śpiewa tak Ada Sari, jak śpiewało serce fąflowatego burmistrza. Nie tańczy tak sam Feliks Parnell, jak tańczył na gościńcu ów człowiek używany do masażu.

Ale największa uciecha zaplanowała w miasteczku.

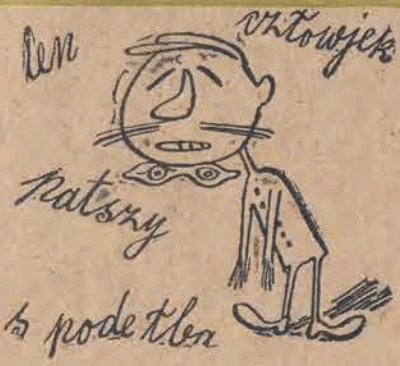
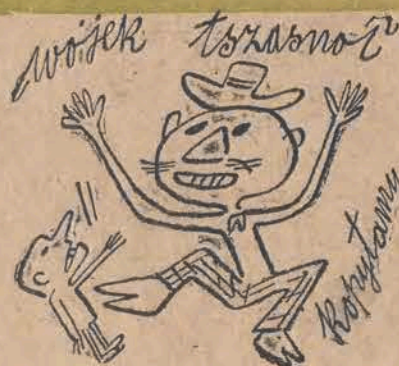
— Pan chciałeś porzucić pracę dla społeczeństwa? — krzyczał sekretarz — Pan myślałeś, że prywała da panu satysfakcję?

— Pan myślałeś, że zamkniesz zakład w trzecim roku niepodległości? — ryczał burmistrz nie posiadając się wprost z radości.

— Czyż człowiek jest szklanką, która stłucze się i której nikt nie naprawi? — wył tłum płaczący.

Tego dnia przez radiowęzeł nadano piosenkę, która potem zdobyła całe nasze Ziemia Odzyskane. Brzmiała ona mniej więcej tak, jak niektóre przeboje chóru Czejanada. Oto ona: Żar miłości rozlał się sam tylko Wąsik zakochał się i chociaż sam był pelen tchnień prze cały dzień swych śnień on tylko jeden tulił się bo żar miłości rozlał się maj bejbi.

Nućcie ją w chwilach zwątpienia. Wpiszcie ją sobie do swych śpiewników. Ona ukołwasze zmysły, ona będzie lampą przewodnią na drodze waszych smutków.



Rys. Kazimierz Grus